

Ladrowie
po *Cieszynsku*
bajki wybrane



Starostwo Powiatowe w Cieszynie

Wydawca:
Powiat Cieszyński
Kontakt:
Starostwo Powiatowe
43-400 Cieszyn ul. Bobrecka 29
Biuro Promocji Zdrowia
Tel. 33-47 77 216, kom. 534 967 028
e-mail: pz@powiat.cieszyn.pl

Opracowanie - redakcja:
Barbara Kłosowska

Konsultacja – korekta tekstu:
Prof. dr hab. Urszula Szuścik -pracownik naukowy
Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach

Ilustracje do okładki przedniej:
Mariola Ptak
Projekt okładki tylnej:
Ewa Biegun

Skład komputerowy i druk:
Wydawnictwo “Arka”
ul. Błogocka 28, 43-400 Cieszyn



Spis treści:

Wstęp	4
1. <i>Kamelki</i> Julianna Kaliszewska.....	5
2. <i>Baśń o cieszyńskim browarze</i> Marta Słowik	6
3. <i>Bajka o Hanusi, która czosneczkiem z Wiślicy, uratowała całą wieś</i> Maria Jonek	8
4. <i>Jak to z Zochą było...</i> Justyna Cyrzyk	10
5. <i>Na ratunek</i> Sabina Morcinek	13
6. <i>Starodawne obyczaje Śląska Cieszyńskiego</i> Kamila Machej	16
7. <i>Baśń o Solance Zabłockiej</i> Franciszek Gandzel	18
8. <i>Cebula czarownic</i> Amelia Szuścik	19
9. <i>Baśń o cudownej mocy królowej Cieszynianki</i> Patrycja Hanzel	20
10. <i>Jako Maciej łoduczył Łutopca kurzić</i> Karolina Gawłowska	23
11. <i>Magiczne źródelko</i> Paulina Pachuta	25



Wstęp

Z dużą przyjemnością przekazujemy w Państwa ręce kolejny trzeci zbiór wybranych baśni i bajek, których autorami są uczniowie - laureaci konkursu literackiego, organizowanego w ramach programu „Zdrowie po cieszyńsku” przez Biuro Promocji Zdrowia Starostwa Powiatowego. Jego celem głównym jest połączenie wychowania zdrowotnego z kulturą, historią i tradycją Śląska Cieszyńskiego. Od 2013 roku odbyło się pięć edycji, adresowanych do dzieci i młodzieży z terenu Powiatu Cieszyńskiego. W tym czasie, poszerzyła się także formuła konkursu o dodatkowe kategorie wyboru: teatralną na scenki rodzajowe i edukacyjną na gry i zabawy, co w efekcie, pozwoliło na lepsze wykorzystanie potencjału, zdolności oraz pomysłowości uczniów i skuteczniej sprzyjało modelowaniu prozdrowotnych przekonań i nawyków uczestników.

Program edukuje i zachęca młodych do czytelnictwa, np. w ramach akcji „Bajki, które leczą” oraz inspiruje do podejmowania ciekawych inicjatyw lokalnych.

Prace: „Jak to z Zochą było...” Justyny Cyrzyk i „Baśń o cieszyńskim browarze” Marty Słowik, posłużyły jako scenariusz bajek animowanych w ramach projektu, zrealizowanego przez Bibliotekę Miejską w Cieszynie i Alternatywną Szkołę Podstawową w Cieszynie pt. „Nakręceni na czytanie”, który otrzymał dofinansowanie w ramach konkursu OperatorKultury.pl w programie *Bardzo Młoda Kultura* Narodowego Centrum Kultury i Regionalnego Instytutu Kultury w Katowicach.

Warto też dodać, że projekt zdobył I nagrodę w Plebiscycie *Know Health* na IV Międzynarodowym Forum Promocji i Profilaktyki Zdrowotnej we Wrocławiu w 2014 roku w kategorii: „Najlepszy program samorządu, podmiotu świadczącego usługi lecznicze lub innego podmiotu niekomercyjnego promujący zdrowie, czyli najlepsza inicjatywa w dziedzinie profilaktyki i promocji zdrowia”.

Mamy nadzieję, że czytanie zamieszczonych w publikacji bajek, sprawi Państwu dużo radości, rozśmieszy, zaciekawi, a nawet zachęci do udziału w kolejnych edycjach konkursu.

Barbara Kłosowska - Organizator konkursu



Tytuł: „**Kamelki**” – 2016 r. I MIEJSCE w kategorii - Grupa Młodsza

Autor: **Julianna Kaliszewska**

Szkoła Podstawowa nr 3 z Oddziałami Integracyjnymi w Cieszynie

Opiekun: Katarzyna Bronowska-Kaliszewska

Siednij se a opowiem Ci, jako to kiejsi moja stareczka plytła o kamelkach a innych gorskich zielinach, kiere to niby były jako złoto na wszelki nimoce. Toć do końca to nie wiem, ale cosikej w tym musiało być, bo przeca wszyscy my byli w chałupie zdrowi.

Hań downi u nas w dziedzinie jak się urodziła moja matulka, od niepamiyntnych czasów była sławno na całóm okolicy gospoda „U Fukały” w Hażlachu, powiel ji nie zawrzili, a bydzie tymu już aspón ze dwa abo i trzi roki. Mój starzik Karel miał jóm strasznie rod i mało wiera razy, jak zech była szykowno, to mie tam wziął ze sobóm, żebych się nie pałyntała po chałpie i nie zawadzała stareczce w gospodarzynie. Tam nad szynkwasym wisiały trzi obrozki. Na jednym było widać właściciela gospody, na drugim była sama gospoda z giblym na tle parchowioka, a w postrzodku w drzewiannej rómce tak pisało: „Najważniejsze tu na świecie, to je zdrowi mój człowiecze. Ze wszystkimi naokoło żyj uprzejmie i wiesioło. Ostrożnym też trzeba być i nikómu nie szkodzić-”. Kapke to mi sie zdało dziwne, że tu kaj ludzie tracóm czas i piniądze i aji swoji zdrowi, je napisane cosik takigo. Bo przeca wszyscy wiedzom, aji dziecka, że kurzyni cygaretów i pici kwitu żodnymu jeszcze nic dobrego nie prziniósło. Ciekawoch była kiery to tam napisoł? Bo w gospodzie taki łobrozek wyglóndół jak to moja starka prawila „jak rzić w kraglu”. Jo tam nie wiem, ale cosik mi sie zdo, że aspón tyn kiery to tam powiesił to miał cosikej oleju we głowie i swoji zdrowi cynił.

Moja starka rada bajała i co wieczór cosikej mi łopowiadała. Kiedysikej zech od ni postyszała, że na každóm nimoc je jakisi zielina a na žal zaś wiesielszo nowina. Strasznie mi się to spodobało i zdo mi się, że to ci je isto prowda bo starka przeca je dycki uśmiychnynto i wiesioło. W zogródce pod oknym mo wrzdycki posadzone swoji zieliny, kiere tak wóniajóm, że dech nieroz zapiyro i kiere to starka opatruje i w odpowiydnim czasie zbjiro, potym suszy, a jak nie dej Boże się kiery rozniemoże, to je lekarstwo zaroz gotowe. Starka cosikej parzi, warzi i mjyszto a potym dowo do picia nimocnymu. Mie już też mało wiera razy pómógła w roztomajtych nimocach. Jak zech się ji kiedy spytało, co to mi dowo do picio to prawila, że jyny kamelki, a mjynte. Toć do końca nie wiem, co to tak po prowdzie było ale zowždy pómogło.

I zowždy jak mie cosi biere to chcym, aby mi nawarziła tych swoich kamelek abo dała mi kwiotków biołego bzu na krzipoty, bo sóm óne strasznie pómocne, jak kierego dusi w karku. Strasznie zech też rada miała czorny bez kiery dostowałach na gorónczke. A jak już mi ta gorónczka przeszła to pytałach starke, czy by mi nie zostawiła kapke tego soku z czornego bzu do herbaty, bo naprowde był strasznie dobry i strasznie mi też ón smakowoł. Rada też zech miała syrop z mojjczków na kuckani i boleści w karku. Tak se spóminóm i myślým se, że stareczka miała prowde, co do tych jeji zielin. Latym starka warziła modróm polywke z borówek, a reszte tych borówek zaważowała na zimowe boleści, abo suszyła i jak dziecka miały glisty to im po kapce a furt, dowala do zjedzynie. Starka też miała rada maliny i zowždy prawila, że „maliny niejednego od śmierci wybowiły”. W lecie jak už były zdrzałe gruszki abo wczasne jabka a potym też i śliwki to starka warziła na obiod bryje a wrzdycki

przi tym łopowiadała jako to jedna cera, kiero się już wydała i była na swoim, pytała się swoji mamy, kiero akurat w południe dojiła krowy: mamulko - a soli się bryje? A mamaulka na to, Ja ceruszko soli, ale mało. Było to strasznie pocieszne. Czasym w zimie, skoro wieczory były kapke przidlógawe, starczka łopowiadała jako to Jewka spod Morysa na miedzy kole lasu zbjyrała czantoryjke, malutkóm czyrwiónowo kwitnącóm roślinke, kieróm zaparzała i dowala pić jak kogo bolół brzuch, ale to była opowoga pić, bo to było pierónsko gorski, ale ponoć zowždy pómogało. Óna to też zbjyrała kminek i wieszala go na stodalnych wrotach aby wyschnól a potym go drziła i przez rzeszotko przepuszczała. Kminek był strasznie pómocny przi zawijaczce, abo przi kiszyniu kapusty. Do kiszynio kapusty dodowali też psiorki, kiere starka nazywała płónkami i prawiła, że „w lecie żodyn płónki nie chce, bo i świnia nad nióm chrechce, ale w zimie kole gód, płónka dobro jako miód”. Podobały mi się moc, ty starczyne „prowdy” i miałach rada ty nasze bajania. Wszyscy na dziedzinie wiedzieli, że kure jyny zabijało sie jak, kiery był nimocny. Bo kura znosiła wajca i żol było jóm zabijać. Ludzie prawiłi, że jak je mlynso z kury na łobiod to abo kierysi w chałpie był nimocny, abo kura zanimógła.

Mój starzik Karel nigdy nie był u żodnego dochtora i zawsze prawił, że dochtorzi to jyny wylyczóm z pińyndzy. Powiadał, że dochtór lyczy z pinyndzy, adwokat z pinyndzy i gupoty a zieliniorka z każdej krzipoty. Sómsiedzi mówili, że starzik mo zieleźne zdrowi, a o ujcowi zaś, że mo zdrowe kości. Starzik prawił, że ni ma lepszego lyku nad czosnek. Zowždy miał zómbek w kapsie i jak mi dowoł pusu, to łokropnie tym czoskiym smerdzioł. Wyśmiywoł się też z nimocnych, a jak kiery miał wyynksze gospodarstwo i wyynkszóm sakiewke to prawił, że „ubogich robota lyczy, a bogatych dochtorzi”, śmioł sie też, kiedy do starczynej chałupy, kiero była na kopieczku przichodziła ciotka, ło kieriej starka prawiła, że mo jedwabne zdrowi, bo óna jak się już wydropała na wyrch to musiała kapke odsapnyć i wydychnąć i dycki starzikowi na ty jego zoczepki łodpowiadała, że pod tym kopcym je dychawiczno zielinka zakopano, bo jakosi musiała starzikowi odpowiedzieć na tyn jego śmiych i swojóm dyche. Starka wrzdycki czekała już na nióm ze szklónkóm ajbiszu.

Muszym wóm powiedzieć, że z tego wszyskiego to jo jyny kamelki móm rada, no i może sznytloczek, kiery rośnie nad przikópkóm, ale zdo mi się, że sznytloczek to ni ma żodno zielina. Toć dobrze, że starczka na tych zielinach się znała, bo w naszej chałpie zowždy wszyscy byli zdrowi a wiesieli, i to isto skoli tych starczynych kamelków.



Tytuł: **„Baśń o cieszyńskim browarze”** – 2016 r. II MIEJSE w kategorii - Grupa Młodsza

Autor: **Marta Słowik**

Szkoła Podstawowa im. Księstwa Cieszyńskiego w Pogwizdowie

Opiekun: Mirosława Smelik

Przed wieloma laty żyło w Polsce wiele diabłów. Był diabeł Boruta, pechowy Hejdarz, Rokita, ale nikt chyba nie słyszał o naszym cieszyńskim diabelku, który zwał się Cieszynek. Mieszkał w starym dębie, nieopodal rzeki Olzy. Pod postacią rośłego chłopca odwiedzał okoliczne wsie i miasteczka. Ale najlepiej czuł się w Cieszynie. Tu, gdy tylko przysła mu ochota, wyczyniał ludziom złośliwe figle. Zdarzyło się pewnego razu, że biedny parobek

w pobliżu Olzy orał swoje pole. Na swoje nieszczęście taszkę z pajdóm chleba ze szmolcym, konsek kołocza i czosnek niedźwiedzi położył pod dębem, w którym mieszkał bies.

- Ale mi się trafiło! - zaśmiał się Cieszynek, zacierając ręce. Widząc, że chłop chodzi za pługiem, wyjął mu z torby swaczynę. Ale żeby jóm chociaż zjod! Ni! Pajde, kołocz i czosnek wyciepoł do Olzy!

Tymczasem chłopek, gdy doorał zagon do końca, siadł pod dębem. Widząc, że taszka jest pusta, zasmucił się ogromnie. Nie przeklinał, nie złorzeczył, tylko zwiesił głowę. Powiedział do siebie:

- Darmo. W chałpie se pojym. Dietka mi nie zaszkodzi. Może kapke stracym brzusek. Szkoda jyny, że nima ani czosku, bo tak dobrze robi mi na astme i rewme. Tak mie dzisiaj krynci!

Wziął się do dalszej roboty. Słyszac to bies, postanowił opowiedziec o swym żarcie kamratom.

- Aleś mu psikusa sprawił! - śmiały się czarty. Tylko Lucyfer się nie śmiał.

- Myślałem, że jesteś mądrzejszy. To nie żadna sztuka chleb i kołocz do Olzy wrzucić. Głupio zrobiłeś, a swym występkiem pohańbiłeś naród diabli. Na ziemię wrócisz i temu chłopu przez rok będziesz służył.

Cieszynkowi nie bardzo się to podobało, ale wrócił do Cieszyna pod swój dąb. Tam przyjął postać parobka, a widząc kończącego pracę chłopą, o robotę zaczął pytać. Przechwalał się:

- Podziwejsie, jak mi robota idzie- wyrwał z rąk chłopą pług i w mig zaorał pole.

- Nie kurzym, zdrowo się odżywióm, tymu zech je taki sprawny- godoł do chłopą.

- Za robote ani grosza nie chcym! Jyny spani i jedzyni.

Chłop ucieszył się z darmowej pomocy.

Jak tylko nastał Cieszynek na służbie u chłopą, dobrze zaczęło się dziać w jego gospodarstwie. Nie brakowało już nigdy jadła, ani zboża na zasiewy. Nawet stary, prawie ślepy koń ciała i ochoty nabrał do życia. Krowy dawały więcej mleka, a kury nosły jajca jak piynści! A i w chałpie też się zmieniło: dziecka poweselały, pogrubiwały i przestały chorować. Nawet dziedzic, na polu którego bies w ludzkiej skórze pracował, dziwił się temu.

- Ale osilek z ciebie! Podobno chętnie w zakłady stajesz! - powiedział do niego pewnego razu.

- Chętnie stanę z dziedzicem w zakład- odparł bies.

A że dziedzic był ciekawy, czart zaproponował układ:

- Za coś, o co poproszę i co nic nie kosztuje, taki napój ci przygotuję, że pić go będą chcieli wszyscy i przy tym dziedzica kiesę nabiją.

Zgodził się dziedzic na tę propozycję. Cieszynek zabrał się do roboty. Najpierw wybudował browar, potem gospodę. A gdy wszystko było gotowe, przygotował wielką kadź i ogromną beczkę. Zatarł żyto, dodał gorczycy, potem gotował napój, który nazwał piwem Brackim.

Gdy wszystko było gotowe, polecił dziedzicowi zwołać ludzi z okolicznych miast i wsi. Piwem częstował wszystkich zebranych. Początkowo nowy napój nie bardzo ludziom smakował. Krzywili się, gadali, że niedobry, gorzki. Jednak z czasem zaczął im smakować.

- Nieźleś go przyrządził! Może jeszcze jednóm szklónke dostanym? - chwalili.

I tak jeden przez drugiego, przepijali, żartowali, śmiali się. A im napoju ubywało, tym gorzej się zachowywali! Klócili się, do bitki byli skorzy! Nie wiedzieli, że alkohol w głowie miesza i szkodzi zdrowiu.

W krótkim czasie wieść o piwie szybko się rozeszła. Z czasem tak się w nim rozsmakowali, że ostatni grosz na niego wydawali i majątek dziedzica w ten sposób powiększali.

Gdy minął rok, parobek rzekł do chłopą, u którego mieszkał:

- Służyłem ci wiernie przez rok. Nie jestem parobkiem, tylko czartem. To ja wyrzuciłem ci chleb do rzeki. Za ten czyn musiałem ci przez rok służyć. Ale moja kara się skończyła. Następnie poszedł do dziedzica.

- Panie - zgodnie z naszą umową przychodzę po zapłatę. Obiecałeś, że dasz mi wszystko, o co poproszę, co nie będzie nic kosztować! - zwrócił się do niego.

- Czego więc chcesz? - zapytał dziedzic.

- Waszej duszy- odparł Cieszynek.

To powiedziawszy, przyjął swą prawdziwą postać i duszę dziedzica do piekła porwał. Tym razem Lucyfer był zadowolony. W uznaniu za jego czyn podarował mu rzekę Olzę i okoliczne trzęsawiska.

Od tamtej pory siedzi Cieszynek na swych włościach. Podobno często można go spotkać pod Górą Zamkową w Browarze, w gospodzie, gdzie chętnie w ludzkim towarzystwie pije.

Na Śląsku Cieszyńskim piwo ludziom smakuje, traktują go jednak z rozsądkiem. Piją go z umiarem, traktując jako doskonały specyfik filtrujący nerki. By jednak nie za mocno szumiało im w głowach, cieszyńskie gospodynie gotują do niego pyszną, zdrową, kiszoną kapustę z krupniokami.



Tytuł: „**Baśń o Hanusi, która czosneczkiem z Wiślicy uratowała całą wieś**” – 2016 r.

III MIEJSCE w kategorii – Grupa Młodsza

Autor: **Maria Jonek**

Szkoła Podstawowa nr 2 Brenna Bukowa

Opiekun: Barbara Brańczyk - Rucka

Dawno, dawno temu, kiedy na Śląsku Cieszyńskim nie było jeszcze betonowych mostów na Wiśle, Olzie czy Brennicy, a do miasta z wioski chodziło się na piechotę, a nie jeździło samochodem czy autobusem, żyła sobie w małej wiosce niedaleko Strumienia, w sercu Żabiego Kraju dziewczynka o dobrym sercu, a na imię miała Hanusia.

Hanusia pochodziła z ubogiej rodziny, jej rodzice uprawiali kawałek wyjątkowo nieurodzajnej ziemi, chatka ich stała niedaleko brzegu rzeki Wisły, a wokół niej biegało dziesięcioro rodzeństwa Hanusi. Ciężko im było wiosną, kiedy zaczynało brakować mąki na podplomyki i siana dla ich jedynej żywicielki – krówki Maliny. Hanusia była najstarsza z całej gromadki dzieci, miała niespełna 12 lat i razem z mamą chodziła do dworu w Ochabach, aby paść krowy i pomagać w oborach. Tato Hanusi zaś w niedalekim lesie najmował się do pracy przy wyrębie drzew. Dzięki temu cała rodzina miała co jeść. Życie jednak nie było łatwe. Hanusia miała wiele obowiązków, jako najstarsze dziecko, pasła krowy we dworze, opiekowała się młodszymi dziećmi i domowym zwierzątkami: kurami, gąską oraz psem Utopkiem i kotem Podciepkim. Swoje zwierzątka nazwała na pamiątkę zasłyszanych opowieści o skrzakach z Górek i utopcach ze Strumienia, o których opowiadała jej babcia. Hanusia uwielbiała słuchać starych legend i pełnych grozy historyjek, lubiła też wyobrażać sobie to wszystko, kiedy chodziła zbierać zioła i kwiaty do pobliskiej Wiślicy. Dziewczynka o ziołach wiedziała wszystko od swej matuli. Znała ich lecznicze właściwości. Zbierała macierzankę i miętę, rumianki i skrzyp polny i wiele, wiele innych roślin. Przez cały rok w domu Hanusi piło się herbatę z ziół, tak popularną na cieszyńskiej ziemi - z kwiatem lipy i dziką różą na dobry sen, a miętą z pieczkami jabłkowymi na żołądek. I tak sobie żyła i rosła

dzieweczka, a słońko na jej widok zawsze się uśmiechało, bo miała najlepsze serce na świecie. Kochała swoją rodzinę, była grzeczna, mądra i nigdy nikogo nie opuściła w potrzebie.

Zdarzyło się pewnego roku, że na wioskę, w której mieszkała Hanusia spadła straszna zaraza. Ludzie ciężko chorowali, umierali i młodzi i starzy. Nikt nie wiedział skąd choroba przysłała i jak jej zaradzić. Kiedy zaczęli chorować również mieszkańcy dworu, zawezwano lekarza z Cieszyna, a potem z samego Bielska. Każdy z nich zbadał chorych i smutno pokręcił głową. Nie było rady, ani leku w miejskich aptekach na tę dziwną przypadłość.

Choroba nie ominęła również rodziny Hanusi. Zachorowało czworo z jej rodzeństwa, wszyscy zarażeni zmarli, a potem choroba dotknęła także jej ojca. Hanusia nie wiedziała, jak pomóc tacie i ze strachem patrzyła na zapadnięte policzki jej mamy. Wiedziała, że sama nie poradzi sobie z rodzeństwem, nie wyżywi ich, a na niczyją łaskę liczyć nie chciała.

W szczególnie ciężkich chwilach uciekała na Wiślicę. Wzgórze to szczególnie lubiła. Kochała stare drzewa, kojący śpiew ptaków i zapach czosnku niedźwiedziego. Nieraz ratowała tam małe liski, które zgubiły drogę do nory, albo wkładała pisklęta, które wypadły z gniazda. Hanusia usiadła na kamieniu i zakryła oczy dłońmi. Łzy spłynęły na jej policzki. Była bezradna, tak chciałaby pomóc rodzicom i sąsiadom... Nagle spostrzegła małego wróbelka, który siedział na gałęzce naprzeciwko. Wnikliwie wpatrywał się w nią i nagle zaczął skręcać dzióbkiem w dół. Hanusia nie wiedziała, co o tym myśleć. Przyjrzała się miejscu, które wskazywał ptaszek i nagle zrozumiała, że wskazuje on jej kępkę czosnku niedźwiedziego, który rósł wesoło wokół drzew. Hanusia pomyślała chwilkę i podjęła decyzję. Narwała całą chustkę zielonych listków i prędko pobiegła do domu. Kiedy tam dotarła, wysypała swój skarb na stół i zaczęła szybkimi ruchami kroić liście jak kapustę.

Kiedy wszystko pokroiła, włożyła do miseczek i podała ojcu prosząc, aby zjadł roślinkę. Tak też się stało. Hanusia przez wiele dni leczyła czosnkiem wszystkich chorych z wiślickiego wzgórza. Efekty były zaskakujące. Ludzie zyskiwali zdrowie, wracali do życia. Niezwykły lek wyleczył również mieszkańców dworu, a Hanusia stała się bardzo sławna. Zawsze powtarzała, że w czystym domu nie ma miejsca dla chorób. Po skończonym leczeniu zawsze sprzątała każdą chałupę. Opowiadano o niej i o tym, że wyleczyła wielu ludzi za sprawą niepozornej roślinki rosnącej na Wzgórzu Wiślickim. Hanusia zastępnęła jako zielarka lecząca ludzi skarbami natury – ziołami, roślinami, kwiatami i innymi lekami z Bożej apteki. Po latach Hanusia została żoną uratowanego z zarazy syna mieszkańców dworu, mieli dwie piękne córki i żyli oni długo, zdrowo i szczęśliwie, w zgodzie z naturą, czerpiąc zdrowie z jej skarbów. A w ich domu zawsze pachniało miętą, rumiankiem, lipą i macierzanką.



Tytuł: „**Jak to z Zochą było...**” - 2016 r. I MIEJSCE w kategorii - Grupa Starsza

Autor: **Justyna Cyrzyk**

Gimnazjum w Kończycach Wielkich

Opiekun: Małgorzata Banot

Dawno, dawno temu, a może nie aż tak dawno, nieopodal Cieszyna we wsi Kończyce Wielkie, żyła sobie pewna dziewczyna, którą wołali Zocha. Zocha całymi dniami nie wychodziła z chałupy, tylko leżała na przypiecku i grzała się jak stary kocur. Jedne dziolchy we wsi już za mąż powychodziły, a za innymi się synkowie oglądali. Już od bladego świtu, gdy tylko kur zapiał, szły panny pracować na roli aż do południa, ręce urabiały, pot z czoła ocierały, a zwinne były, zdrowe, dorodne i powabne jak młode łanie. Przed robotą włosy starannie splatały w złociste warkocze, główki przyozdabiały wianeczkami ze stokrotek i niezapominajek. Oczki miały błyszczące jak brylanciki, usteczka jak poziomki, jagody rumiane i zawsze umyte. A nasza Zocha wydać się nie umiała, choć miała już dwadzieścia wiosen. Nie dziwota, bo była to leniwa i szkaradna dziewczucha, co do słoneczka buzi wcale nie wystawiała, często chorowała, dobrze pojeść lubiła, od wody i mydła jak od ognia albo zarazy stroniła, a włosów nigdy nie czesała. A jak już Zocha z przypiecka zlazła i pokazała się we wsi, śmiali się z niej ludziska, a dzieci chodziły za nią i śpiewały:

Czy – to – szka – pa,

Czy – to – Zo – cha,

I u – to – piec

Nie - po – ko – cha!

Pewnego marcowego dnia tak się Zocha na te śpiewy rozgniewała, że aż tupnęła głośno i poszła się wypłakać nad rzekę Piotrówkę. Siadła nad brzegiem, brudną chustkę z fartucha wyjęła, trze nią tłuste lica i gorzkie łzy leje. A mówi przy tym nierozważnie do samej siebie:

- A niechby mnie już pokochał jaki utopiec, chociażbym nosa wszystkim utarła!

Nagle patrzy, a tu – z wody wyłania się przed nią przedziwna postać. Niski jakiś człowieczek w śmiesznych, czerwonych spodenkach, z długą brodą, oczy ma rybie, a skórę zieloną, świecącą i jakby oślizgła. A był to najprawdziwszy Utopiec!

- Wezwiałś mnie, więc jestem – mówi do niej skrzeczącym głosem, błyskając rybimi ślepiami – Teraz, gdy już to zrobiłaś, musisz zostać moją żoną!

- Nigdy w życiu! – wrzeszczy dziewczyna przerażona cała, wstaje prędko, chce uciekać, ale Utopiec woła za nią:

- I tak po ciebie przyjdę! Wszędzie cię znajdę, rybko ty moja! Wciągnę cię do wody, a jak już zostaniesz moją żoną, więcej nigdy słońca nie ujrzysz!

Zocha w płacz, a Utopiec mówi do niej jakby poruszony:

- No, chyba, że do końca tej wiosny się wydasz. Ale pamiętaj, jeśli cię żaden nie zechce, wciągnę cię na zawsze do Piotrówki!

To powiedziawszy, zniknął Utopiec w otchłani.

Zocha wstała, do chałupy wróciła i spać się na swoim przypiecku położyła, bo późno już było, a rankiem miała iść do Cieszyna na targ. Ledwie zaświtało, poraniła się jej matula, do koszów jajka i masło powkładała, obudziła Zochę i wysłała ją do miasta. Idzie Zocha, idzie, pod ciężarem koszów się ugina. Stała na rynku cieszyńskim, cały towar sprzedawała

i poczęła się rozglądać po targu. Patrzy, a tu jakaś mała dziewczeczka w podartych łańchmanach stoi z jednym jabłuszkiem w ręczce i pyta ją, czyby go tanio kupić nie chciała. A zaraz obok biednej dziewczeczki stoi wysoki człowiek, widać, że dużo zarobił, a jeszcze kołacz ma do sprzedania. Już Zocha wyciąga rękę po smakołyk, aż tu nagle gołąbki z cieszyńskiego rynku za spódnicę ją targają, gruchając głośno:

- Zosiu! Zosiu! Nie jedz kołacza! On tłusty i niezdrowy. Kup raczej jabłuszko od małej dziewczeczki, ono zdrowiu i krzepkości służy. Myśmy słyszały, co ci powiedział nad Piotrówką Utopiec. I zaśpiewały wesoło:

*Popatrz dookoła, nasza Zosiu miła,
Abyś była zdrowa, abyś zgrabna była –
Tu z jabłkami stragan, tu na sprzedaż gruszka,
Smaczne witaminy wkładaj do fartuszka.
Tu leżą warzywa, sera kęs świeżego
I kapusta z becзки, kasza, groch do tego.
A kołacze, buchty, tylko jedz od święta.
O krasie, o zdrowiu, dziewczyno, pamiętaj!*

Posłuchała Zocha gołąbków, a przy tym ubogie dziecko wspomogła. Chrupie soczysty owoc, patrzy na gołąbki i myśli:

„One takie biedne, nikt ich dziś nie nakarmił. Głodne być muszą, a ja sobie sama jem.”

Żal jej się ich zrobiło, kupiła więc także kołacz i ptaszynom oddała. A one radośnie gruchając, posiliły się nieco i z wdzięczności poleciły jej, aby obmyła twarz wodą ze Studni Trzech Braci, żegnając Zochę piosenką:

*Nie potrzeba tobie najdroższych pachnidel,
By się prędko wyrwać ze szkarady sidel.
Kupują perfumy najbogatsze damy,
My cię do Studzienki naszej zapraszamy.
Jeśli ci odbicie twoje, Zosiu, zbrzydło.
To wystarczy woda, a do tego mydło.
Świeża, zimna, zaraz ci piękności doda,
A wnet poznasz, że jest wielka twa uroda!*

Podeszła do Studni dziewczyna zaraz, jak się targ skończył, patrzy w wodę i co widzi? Szpetną gębę, brudną szyję, zaspane oczy, a zęby żółte i dziurawe. Wstyd jej się zaraz zrobiło, zanurzyła w wodzie ręce i twarz umyła. Spojrzała drugi raz do Studni, a tam znów odbicie, ale jakby całkiem innej panny. Błękitne oczki pod czarną rzęsą nad różanymi policzkami się świecą.

Odtąd Zocha przestała się objadać, częściej po owoce sięgała i myła się co dzień zimną wodą, bo widziała, że gdy czysta, wcale nie jest taka brzydka...

Stopniały resztki zimowych śniegów, na drogach coraz mniej błota, słońeczko poczęło wyglądać śmieiej zza chmur. Pierwsze wiosenne kwiateczki pokryły łąki, weselej kwiliły ptaszynki nad strzechami chałup wiejskich. Zaczął się kwiecień, a Zocha wciąż nawet galana nie miała. Ale synkowie przestali patrzeć się na nią tak krzywo, a dzieciom nie chciało się już jej dokuczać.

Przechodzi raz Zocha pod najstarszym dębem w Kończycach, a wtem, drzewo obraca ku niej gałązki i przemawia ludzkim głosem:

- Zosiu... proszę, pomóż mi, moja droga...

- W czymże ci pomoc, miły Dębie? – pyta dziewczyna.

A drzewo rzekło smutno:

*Jechał tędy król Sobieski
Dawno temu, przed wiekami.
Tu zatrzymał się wśród wojska,
Spał pod mymi gałęziami.
A koń jego miał podkowę
W najprawdziwszych pozłoceniach.
Skradł ją jeden chciwy wojak
I zakopał w mych korzeniach.
Chciał powrócić po nią w nocy,
Lecz go skarał piorun Boży.
A nade mną przez podkowę
Taka się niedola sroży,
Że nie rosną mi żołędzie.
Wykopże ją – twoja będzie!*

Usłyszawszy tę historię, zaraz biegnie Zocha po motykę i kopie, i szuka, a tak się przy tym uwija, że aż jej czoło perelki potu kryją. W końcu wykopała podkowę, a naprawdę była ona pozłacana. Zocha dębowi podziękowała, a za ceną podkowę kupiła sobie najpiękniejszy strój, jaki tylko w mieście znalazła. Teraz wszyscy patrzą na dziewczę i nadziwić się jej krasie nie mogą, zaczęli się za nią synkowie od razu oglądać. Śliczna to panna w tak strojnej sukni, różowej, ozdobionej szykowną broszką. Tu czysta, biała bluzka pod szyją, na nogach nowiuśkie buciki. Jakże pięknie w tej oprawie Zocha wygląda. Spaliła stary fartuch, a chustkę od tej pory czystą nosiła.

Słoneczko przygrzewało coraz mocniej, łąki były już zalane mniszkami, fiołkami, kończyną..., na drzewach zieleniły się soczyste wiosenne listki, niebo nabrało świeżego błękitu. Wiezorami po całej wsi śpiewały słowiki, a bzy aż uginały się pod fioletem. Dawno już minął kwiecień, teraz maj królował wśród kończyckiej wiosny. Chodzą ludzie drózkami, a co chwilę widzą Zochę, jak spaceruje, albo zboża dogląda. Ale najczęściej Zocha ze swym kochankiem rada biega po umajonej łące. Od dawna jej się Janek zdawał szykowny i szworny, ale on nie widział, że Zocha pod brudną gębą tak ładną twarzyczkę chowa. A już za trzy niedziele ma być we wsi wielkie Zochy i Janka weselisko. Tylko, że Zocha chodzi czasami i płacze, bo sobie nie umie ładnego upleść warkocza. Urodziwa z niej panna, ale włosy wciąż nieuczesane.

- Jakże mam przed ołtarz iść, kiedy włosy w takim nieporządku?! – martwiło się dziewczę, a nikt jej nie chciał grzebienia pożyczyć. Stała sobie Zocha na małym mosteczku pod zamkiem młodziutkiej hrabiny Thun – Hohenstein i łzy rzewne wylewa. A tu - przychodzi na mosteczek sama hrabina, bo lubiła sobie czasem nad stawem podumać. Patrzy na Zochę i pyta, co się stało, więc jej dziewczyna wszystko dokładnie opowiada. A znana była w Kończycach hrabina ze swej dobrotliwości. Tak się o wszystkich troszczyła, że ją Dobrą Panią nazywano. Także teraz poczęła współczuć biednej Zosi, że jej nikt nie chce grzebienia pożyczyć. Wyjęła z kieszeni swój własny, pięknie zdobiony grzebień, a do tego nową, różową wstążkę. Te skarby Zosi podarowała, sama jej rozjuszony kudły rozczesła i splotła w złoty warkocz. Dziękuję jej dziewczyna, do chałupy powraca, ludziska na nią patrzą, zachwycają się jak nigdy. Teraz już Zosia sama o włosy zadbać mogła dzięki dobrej hrabinie.

Przyszedł dzień wesela. Już przed ołtarzem w kościele św. Michała Archanioła Zosia i Janek ślubują, aż tu niespodziewanie wpada zły Utopiec jak diablik, co z piekła uciekł. Wszyscy się mu przyglądają zadziwieni, oczy przecierają, baby mdleją, dzieci płaczą,

bo nigdy takich dziwów nikt nie widział. Spogląda Utopiec na Zosię, widzi jaka jest piękna, jak zdrowo wygląda i już chce obietnicę złamać, już ją za welon targa! Na szczęście ksiądz go wodą święconą polał. Rozpłynął się diablik i tyle go widzieli.

A Zosia i Janek po ślubie mieli huczne weselisko, które trzy dni trwało. Na nim i hrabina była. Zosia już zawsze dbała o siebie, a dzieci odtąd śpiewały:

*Mo – dre – o – czy,
Su – knia – zwie – wna,
Czy – to – Zo- sia,
Czy – kró – lew – na?*



Tytuł: „**Na ratunek**” – 2016 r. II MIEJSCE w kategorii - Grupa Starsza

Autor: **Sabina Morcinek**

Gimnazjum im. K.K. Baczyńskiego w Zebrzydowicach

Opiekun: Katarzyna Dynek

Kilkaset lat temu, w Cieszynie, za panowania Elżbiety Lukrecji żył Erym – pierwszy syn hrabiego Stalsky. Jako, że był pierworodnym, prawie codziennie musiał wykonywać mnóstwo obowiązków przygotowujących go do przejścia statusu głowy rodziny.

Męczyło go to strasznie, szczególnie etykieta i lekcje tańca. Nie potrafił zrozumieć, jaką różnicę daje zjedzenie tortu małą łyżeczką, a małym widelcem! Czasami miał tego wszystkiego dosyć. Pragnął wyrwać się z tej szarej codzienności, obowiązków, zakazów i nakazów.

W takich chwilach wymykał się niepostrzeżenie z posiadłości ojca i kierował się w stronę wzgórza zamkowego. Opustoszałego. Po niedawnym zburzeniu trzech wieży mało kto odwiedzał to miejsce. Było mu to nawet na rękę, bowiem nikt nie wypytywał go, kim jest, skąd pochodzi i co tam robi bez opieki.

Ten dzień nie różnił się zbyt od poprzednich. Lekcje do południa, nudny wykład o pokonaniu jakiegoś tam szanowanego króla pod jakimś tam miastem. Gdy jego nauczyciel odwrócił się i zatopił w swoim monologu, on dyskretnie czmychnął i przemykając korytarzami, wymknął się z willi ojca. Szybko pobiegł w tylko sobie znanym kierunku.

Usiadł pod rozłożystym dębem i zapatrzył się na Olzę. Jej niegdyś błękitna, wręcz przezroczysta woda, teraz była mulista i nie przyciągała tak wzroku. Powodem tego były wyrzucane przez ludzi odpadki, za którymi podążały szczury, które stały się ostatnio bardzo namolne. Gdy gryzonie przechodziły bądź kąpały się w rzece, zanieczyszczały ją. W mieście pojawiło się ich mnóstwo, a wraz z nimi choroby.

Nagle wzrok chłopca padł na płyciznę rozciągającą się niedaleko niego. Zdawało mu się, że coś się tam porusza. Ostrożnie podszedł bliżej, a to, co zastał, niezmiernie go zdziwiło.

Z niezgrabnie zrobionej sieci próbował się wydostać mały stworek. Jego skóra była zielona, oczy wylupiaсте i czarne, niczym obsydian, u rąk miał zakrzywione szpony. Wyglądał dziwnie znajomo, ale Erym nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego. Pograżony w rozmyślaniach nagle usłyszał:

- Pomóż mi, miły panie! Bądź poczciwym człowiekiem i uratuj mnie! – błagał.

Ten zlitował się nad stworkiem, zbliżył się do brzegu i szybko wypłatał go z sieci.

- Dzięki ci panie, twoja dobroć zostanie wynagrodzona - z powagą zadeklarował stworek.

Zaciekawił tym niezmiernie młodzieńca, więc próbował dowiedzieć się czegoś więcej.

- Powiedz mi, kim jesteś? – zapytał.

Uratowany zmieszał się odrobinę i zamyślił się. Przyglądał się Erymowi, wodził oczami wokoło, obserwował okolicę. Po chwili odezwał się:

- Nie można określić kim... czym jesteśmy. Można nas porównać do duchów zamieszkujących wody. Wy, ludzie, przez to, co wam robimy i jak o was myślimy, nazywacie nas utopcami.

Erym wzdrygnął się nieco... Teraz zrozumiał, dlaczego tak kojarzył tę postać. Czytał o niej w jednej z książek. Nie przestraszył się jednak zbyt i postanowił wykorzystać nadarzająca się okazję.

- Dobrze, więc w jaki sposób chcesz się odplacić za ratunek? - chciał się szybko dowiedzieć.

- Mogę ci, panie powiedzieć, jak ograniczyć postęp zarazy, która gnębi was od jakiegoś czasu

- śmiało oświadczył utopiec.

Chłopiec spojrzał na niego uważnie. To prawda, od kilkunastu dni w Cieszynie i w jego okolicach działo się źle. Ludzie chorowali, zarażali innych, lecz nikt nie potrafił znaleźć przyczyny. Lekarze okazywali się bezradni, a nastroje z dnia na dzień były coraz bardziej pesymistyczne. Ograniczono kontakty sąsiedzkie, każdy bał się nawet wyjść po zakupy, by nie narazić siebie i bliskich.

- Mów dalej – zachęcał Erym. Na usta utopca wkradł się podstępny uśmiech. „Jeżeli on wykona wszystko odpowiednio, to i ja będę miał z tego korzyści, a właściwie cały mój wodny lud” - pomyślał uradowany i rzekł:

- To, przed czym tak uciekacie, bierze się z waszego głupstwa –oświadczył, a widząc niezrozumiałą minę chłopca, mówił dalej. – Wy ludzie w swej bezmyślności to, czego nie zjecie, wyrzucacie byle gdzie. W tych właśnie miejscach najchętniej gromadzą się szczury. To one przenoszą chorobę, która dziesiątkuje miasto. Jeśli chcecie się ich pozbyć, musicie coś zrobić z resztkami, wtedy szczury z pewnością odejdą, a wy odpoczniecie - wyjaśnił.

Chłopak uradował się, że poznał sposób na zniwelowanie zarazy. Jednak nie był naiwny i wiedział, że utopiec jest przebiegły i z pewnością ma w tym swój własny cel. Wcale nie musiał się odwdzięczać, mógł po prostu uciec, gdy tylko został wypłatany. Aby pokazać swoją przewagę zapytał:

- A co ty z tego będziesz miał? - uśmiechnął się na widok zdziwionej miny stworka. - Mów! -

- rozkazał Erym. Wiele osób znających jego ojca pomyślałoby, że są podobni. Ten sam nieznośny sprzeciwu ton. Chwilę toczyli bitwę na spojrzenia. Utopiec próbował ze wszystkich sił, lecz tym razem trafił na godnego przeciwnika. Wygrał Erym, który z triumfalnym uśmiechem drażył dalej.

- Więc? - utopiec popatrzył na niego wściekle.

- Pomyśl logicznie. My, istoty wodne nienawidzimy waszej rasy z wielu powodów. Karczujecie lasy, zanieczyszczacie ziemię, na których my - magiczne istoty - żyjemy. Zabijacie nas w ten sposób! Przez wasze odpadki nasza piękna Olza jest brudna. Nie potrafi - my oddychać! Jeżeli przestaniecie niszczyć lasy i wody, przyniesie to korzyść wszystkim! Czy to ci nie wystarczy?

Erym zamyślił się na chwilę. Rzeczywiście, jeśli coś z tym zrobią, woda będzie znowu tak samo czysta, jak zapamiętał z dzieciństwa. W słowach utopca kryła się smutna prawda dotycząca bezmyślności ludzkiego postępowania.

- Dobrze, spróbuję coś z tym zrobić. Zgoda? - zapytał i wyciągnął rękę. Utopiec spojrział na niego podejrzliwie... Po chwili zdobył się na gest i uściśnił go swoją zieloną łapą na znak zgody.

- Jak chcesz to zrobić, panie? – zaintrygowany próbował dowiedzieć się czegoś więcej. Chłopak uśmiechnął się tajemniczo i powiedział:

- Mam swoje sposoby.

Stworkowi to wystarczyło. Kiwnął głową, odwrócił się i wskoczył do wody. W głowie Eryma zaczął kiełkować plan...

Przed Elżbietą stał około szesnastoletni młodzieniec o długich włosach do ramion. Największą uwagę przykuwały jego oczy - niebieskie z żółtą, wręcz złotą obwódką w środku. Ubrany był w typowy strój szlachecki, z wyjątkiem szabli, jaką nosili dorośli mężczyźni.

- Syn hrabiego, nieprawdaż? - ni to zapytała, ni stwierdziła. – Cóż cię sprowadza do moich skromnych progów? – spytała klęczącego przed nią na jednym kolanie młodzieńca.

- Witaj pani. Chodzi o zarazę, która gnębi twój lud od jakiegoś czasu.

Zaintrygowana księżna kiwnęła głową na znak, by kontynuował.

- Otóż, dowiedziałem się z pewnych źródeł, że tym, co przenosi chorobę, są szczury, naprawdę - patrzył w niedowierzającą minę Elżbiety. - Przyszły tu one za jedzeniem, które skutecznie im dajemy, nawet o tym nie wiedząc.

- Jak to? Przecież nie znam nikogo, kto umyślnie karmiłby szczury! - wykrzyknęła wzburzona Elżbieta.

- Umyślnie może nie, ale robimy to, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Wyrzucamy i zostawiamy tony jedzenia w różnych miejscach. Szczury tylko czekają na takie okazje! Pałaszują w odpadkach i tym samym roznoszą choroby. Tak wygląda problem, z którym musimy sobie czym prędzej poradzić. Elżbieta słuchała i widać było, że rośnie w niej przerażenie.

- Dobrze, więc co proponujesz? Gdzie niby mamy wyrzucać odpadki? Nie znam nikogo, kto chciałby je gromadzić, zatrujemy się zgnilizną! - mówiła sfrustrowana.

Erym miał już w głowie plan działania. Nie chciał jednak urazić księżnej, więc czekał na jej propozycje. Obserwował w milczeniu panią grodu, a gdy widział, że nie ma co zwlekać, odezwał się:

- Pani, pozwól, że przedstawię mój plan. To proste. Chłopi, którzy mieszkają na pobliskich ziemiach, pracują w polu, mają gospodarstwa. Gdyby niewykorzystane jedzenie zawozić do nich, mogliby nakarmić zwierzęta. Przecież świnie z apetytem zjedzą te odpadki. W zamian będziemy mogli kupować u nich świeże i zdrowe mięso. W ten sposób chłopi będą zadowoleni, a na dworze nie zabraknie wartościowej żywności. To taka równoważna wymiana - uśmiechnął się. Elżbieta w mig pojęła jego tok rozumowania. - Również dzięki temu okolica będzie czystsza, a woda zdutniejsza do picia. Znikną szczury, wraz z nimi ustaną choroby i nasze problemy. Pytanie tylko, czy ty, pani, akceptujesz mój pomysł? Należałoby zawrzeć umowę z chłopami i zobowiązać mieszkańców do właściwego gospodarowania odpadkami - dodał.

Jak powiedział, tak zrobili. Księżna zawiązała umowę z chłopami. Teraz odpadki były wywożone do gospodarstw i zjadane przez świnie. Szczury uciekły, nie mając w mieście sprzyjających warunków, przez co choroba zmniejszyła swój zasięg. Z dnia na dzień liczba zarażonych malała, wszystko powoli wracało do normalności. Mieszkańcy grodu piastowskiego nauczyli się, że pozostałego jedzenia nie należy marnować, ani broń Boże wyrzucać. Zrozumieli także, iż od nich w głównej mierze zależy czystość otoczenia, a tym samym zdrowie wszystkich. Erym został obdarzony zaufaniem, ludzie odnosili się do niego z szacunkiem. Nawal jego obowiązków nie zmienił się, choć teraz, po tym doświadczeniu, był bardziej pewny siebie i nie bał się sprzeciwić nawet ojcu.

Nadal wymykał się nad Olzę, by zebrać myśli i uspokoić się. Od tej chwili jednak jego nieodzownym towarzyszem był pewien zielony stworek, który szczęśliwy wraz ze swym ludem pływał w czystej, na powrót pięknej rzece. Księżna też dodała coś od siebie, bowiem zasadziła mnóstwo dębów na Cieszyńskich Ziemiach. Nie zrobiła tego bezinteresownie, ale to opowieść na inną porę.



Tytuł: „**Starodawne obyczaje Śląska Cieszyńskiego**” – 2017 r. I MIEJSCE w kategorii –
Grupa Młodsza

Autor: **Kamila Machej**

Szkoła Podstawowa w Zebrzydowicach

Opiekun: Bożena Kozikowska

Ani za lasami, ani za górami, jyno niedaleko stela, kole Cieszyna żyła se naszo rodzina. Pod lasym mjyndzy starymi strómami, mjyszkałi se my, dziecka, nasi łojcowie i nasza roztomiło starka. Nejmłodszo z nas była Helynka, z kieróm mielimy najwiyncyj łostudy. Nasi łojcowie caluški dziyń harowali w polu, łoporzóndzali bydło i gowjydz. Chowali my krowy, cieloki i babucie, a po placu chodziły kury, gynsi, kaczkki i truški. Na zogónach sadzilimy jarziny, zymnioki, sioli pszynice i łowies. Rosło to wszystko, jak na drożdżach, bo łojcowie dobrze pole gnojili. Masło robili my se sami ze śmietónki w maśniczce. Nie chybiało nóm też syra, kiszki, maślónki, ani kapołki. Mamulka stej kapołki warziła polywke, kiero się nazywła chudo jewa. Łobiod jedlimy dycki z jednej miski. Zajodali my się zymniokami pomaszczónymi szpyrkami, żarnówkóm sparzónóm wrzawym mlykym, fazolami, a najwiyncyj szmakowała nóm babraczka. Dycki rano na śniodani jedlimy czoskule z chlebym, po kieryj łokropnie śmierdziao nóm z gymby czoskym. Po sól i cukier chodzilimy pieszo do Cieszyna. Nie kupowalimy ani chleba, bo pjkli my se go sami w piekarszczoku. Łojciec doł w młynie zemleć se swojóm pszynice i mąki mielimy doś na calutki rok. Starka pjykła z ni poleźniki, buchty i koloczce ze syrym, makym i posypkóm. Powjym jyno tela-prowdziwe niebo w gymbie. Przenigdy jak był post, abo pjóntek nie warzylimy mjynsa. Wtynczos mamulka ajinóz łobetrzyła łod szmolcu, tak my byli poboźni. Na śwjynta zabijalin my babucia. Masorz godoł, że jak miał szpyrke na sztyry palce, to gaǳzino dobrze go łodbywała. Robił masorz stego kormika jelita, salcesóny, śwjyczke i szmorec. Dycki kole chałpy gónilimy boso, ale w śwjynta do kościoła łobuwalimy bóty. Mamulka ze starkóm wysztrychły się w przepieknie, dłógi szaty, na glowie wjónzały czepece i szatki. Całe mjyniły się i śwjynciły łod cekinów, kierych miały łogromnie moc na szatach. Godoły nóm, że to sóm regionalne stroje ze Ślónska Cieszyńskiego, kiere łodlykały kiesik jejich starki. Po kościele

siadaliśmy dycki do śwjóntecznego śniadania, nó to my se dziepro łodmaścili. Fet kapoł nó m z brody, ale brzuchy nigdy nas nie bolały, bo popijali my te tłustote herbatóm z dziurawca. Zbryjali my go całe lato po miedzach i chaszczach, wjonzali do kupy i wjeszali na stodole pod strzechóm. Dycki rano starka warziła stego zielska cały gornek pico, kierego pilimy wiwle chcieli. Calutkóm zime na blasze stoł też gornek z kómpotym z pieczek, kiere suszyły się całóm jesień na przipjycku. W zime przichodziły dónos baby na szkubaczki. Szkubały pjrzi, spóminaly downe czasy, a przy tym łobgodały całóm dziedzine. Starka czynstowała jich zawijokami z jabkami i winym z łostrzynźlic, po kierym były łokropne wiosiołe. I to skuli tych bob my se leżeli pod pierzinami. Żodyn z nas ni miał łuczulinio na pjrzi, nie kichoł, nie smarkoł, ani też nie loło mu się z łoczy. Rynce też nie musielimy co chwila myć, utrzymyly se je jyno do galot i siadali przy stole do jedzynio. Gnali nos cały czas do picio kapuśniónki, kierej byłokupe, bo na jesiyń nadeptali my boso całóm becške kapusty. Godali, że kie bydymy kupe ji pić, to żodno glista nas się nie chyci. To była śwjynto prawda, bo żodne choróbskasie nas sie nie chytały i nie łykalimy żodnych celtek. Jyno jak kiery krzipoł, to dali mu sie napić wrzawego mlyka z mjodym i czoskym. Łojcowie ni mieli za wiela czasu, żeby nas wahować, miała go za to starka i to łona miała na nas łoku. Mieli my przikożane starce posłuchać, pumogać ji, bo była staro, w kościach ji trzeszczało i sił miała niewiela. Nie łocióngnalimy się z pumocóm, bo my zwietrzili, że starka trzimo pod jaskym w swoim kopyroku bómbóny, taki szkłoki, kiere nó m dowala, jak bylimy szykowni. Kozala nó m dać se jyny pozór, aby bómbón nie wleciół nó m do kołoczowej dziurki i aby my się nie zakirzypali. Starka dycki była wyśmioto i wjesioło, a bojki sypały się ji jak z rynkowa. Nojlepi siedziały ji w głowie ty ło Cieszynie i łokolicy. Tymu wieczór, jak się szarziło, wartko umili my się w wasztroku i gnali do kuchyni, siadali wedle starki na łowie i z łodewrzytymi gymbami posłuchalimy jejigo bajdurzynio.

Godoła, jak to huń downi zesšli się trzej bracio, Rus, Czech i Lech w Cieszynie i założyli gród. Tymu na tym miejscu stoi teroz studnia, do kierej każdy kiery jyno chce może ciepnyć pinióndz na szczynści. Ni mógli my też łuwierzyć, że kie się wylezie na Wieże Zamkowóm, to łuwidzi się nie jyno cały Cieszyn, ale ji Czechy. A stare strómy, kiere rosnóm przy rzyce Łolzie i Bobrówce, tak cieszóm łoczy, że ludziskóm nie mieści sie w głowach, w jakim to przepjeknym miejscu żyjóm. Kierysik wieczór, starka nó m napómkła, że zno też legynde ło łutopcach. Zaśwjyciły nó m się łoczy, jak wóngle pod blachóm i zaczęli my jóm pytać, aż nó m jóm łopowjy. Starka serce miała mjynki, to nas posłuchła. Zaczyła bajać, a wystraszóno Helynka wlazła ji pod parze. Starka tak fajnie łumiała łopowiadać że ani my się nie nazdali, jak skóńczyła. Naroz Helynka zaczęła łokropnie wrzeszczeć. Łojcowie byli w izbie wedle kuchyni i kie łuszłyszeli wrzask, zaroz przilecieli i zrobili się bladzi na gymbach. Taki wystraszóny dziółchy przenigdy nie widzieli. Zaczli nióm telepać i pytali coby łodewrzyła łoczy. My zaś sie skapli, że jak posłuchala bojki, to się ji zdrzymło i to, co łuszłyszala postawiło się ji na łoczy. I była to czysto prawda, bo kie przisła do siebie, to nó m to łopowiedziała. Godała, że sie ji zdało, że to łona stoi samjutko po ómoku nad Łolzóm. Naroz z wody wylazła łokropnie szpatno, wysoko, zielóno masz kara, kiero miała łobślizłóm skóre i zielóno włosy na łepie. Chciała jóm wcióngnóc do wody i łutopić. Ni móg to być kiery inszy, jyno łutopiec i to tymu tak wrzeszczała. Łojcóm nie mieściło sie to w głowie, że starka bajo nó m taki łokropiýństwa przed spaniym.

I tak to skuli tej smarkatej Helynki, zakozali starce wieczorami łopowiadać nó m historyje, kierych my tak radzi posłuchali. Łod tego czasu starka już nie była tako wiosioło, jak kiesik. Ale rada nas miała dali. Wieczór wlazowała po cichu do jizby w kierej my spali, głoskała nas po głowach i robiła nó m krzyżyki na czołach. Po cichutku szeptała nó m dobranoc-spejcie z Panym Bogym i janiołkami. Fórt starce do głowy lazło, czymu to Helynka

tak się wylynkała, przeca była to jyny bojka, a ni prowda. Ale łopisane łobyczaje i godka sóm prowdziwe. Starka pytała, aby przekożali my je swoim dzieckóm i wnukóm. Majóm wjedzieć, że to szczynści mjyszkać w taki pięknej łokolicy, jakóm je Ślask Cieszyński. Niech wszyscy wjedzóm i się nie dziwujóm, że kiery na Cieszyńskij Ziymy je łurodzony, tyn je wydarżony. Kieby ludzie jedli, to co kiesik ich pradziadowie, to choróbska, by jich łomijały.

Wiadómo przeca, że jyny w zdrowym ciele, może być zdrowy duch.



Tytuł: „**Baśń o solance Zabłockiej**”- 2017 r. II MIEJSCE w kategorii - Grupa Młodsza

Autor: **Franciszek Gandzel**

Szkoła Podstawowa im. Pawła Kojzara w Mnichu

Opiekun: Urszula Skotnica

Dawno, dawno temu żyło sobie pewne małżeństwo. Małżonkowie byli już starzy, biedni i chorzy, lecz bardzo się kochali. Mieszkali w pewnej wsi o nazwie Zabłocie. Jedyne dochody przynosił tylko ich mały ogródek. Co miesiąc przychodzili do wsi sprzedawać swoje warzywa na targu. Lecz po kilku tygodniach stała się rzecz straszna. W ogródku przestały rosnać rośliny. Gdy nic im nie zostało, mężczyzna sprzedawał, co tylko się dało, a kobieta zaczęła pracować jako krawcowa za jedzenie i drobne pieniądze. Po roku nie mieli już nic poza ubraniami i chatą. Na domiar złego żonę zwolnili z dodatkowego dorobku.

Kilka dni później ktoś zapukał do drzwi. Gdy mężczyzna otworzył w drzwiach ukazał się szlachcic, który oznajmił „szukam chętnych mężczyzn do pracy w polu, jest już kilku chętnych, ale brakuje mi jednego. Czy może bylibyście zainteresowani? Chłop zaniemówił ze szczęścia i od razu się zgodził. Szlachcic kazał od razu pracować, ale obiecał, że jego praca zostanie hojnie wynagrodzona. Niestety chłop został oszukany przez jegomościa. Musiał ciężko pracować przez cały dzień bez przerwy i nie dostawał nic w zamian. Bogacz uczynił go swoim niewolnikiem. Tak mijały lata starzec jeszcze bardziej się rozchorował. Nawet nie wiedział, że jego żona już rok temu zmarła. Mijały tygodnie, miesiące i lata a on nadal pracował, zajmował się bydłem, usługiwał pracodawcy oraz sprzątał w pałacu. Nie mógł doczekać się chwili, kiedy znowu ujrzy swoją żonę. Kilka miesięcy później szlachcic zachorował a po paru dniach umarł. Miejsce niesprawiedliwego bogacza zajął jego młodszy brat. Postanowił zapłacić wszystkim parobkom, którzy tu pracowali i zaprosić ich na posiłek. Gdy nadeszła noc a uczta dobiegała końca, bogacz pozwolił im zostać na jedną noc. Nazajutrz poprosił, żeby popracowali tylko kilka godzin. Kiedy mężczyzna wrócił do domu nie zastał tam swojej żony. Zdziwiony szukał jej przez resztę dnia. Zrezygnowany wrócił do chaty na nocleg. Mijały godziny a on nadal nie zasnął, bo nie mógł się pogodzić z nieobecnością swej kobiety. Rano zajrzał do ogródka i zobaczył tam drewniany krzyż z jej imieniem. Zrozpaczony oplakiwał żonę godzinami. Nieszczęsny mężczyzna poszedł w końcu spać, gdyż była już noc. Rano wstał po nieprzespanej nocy, wypełnionej smutkiem i żalem do siebie, że zgodził się na pracę u chciwca. Ubrał się i wyszedł na dwór. Wtedy przyleciał gołąb i przemówił ludzkim głosem: „Znam twój żal i to, że źle postąpiłeś i przyznanie się do winy. Jednak to, co mówisz nie jest prawdą. Wina leży tylko w chciwym mężczyźnie. Za to, że tak cierpiełeś - dam ci coś w zamian. Za dwa lata

wykop dół w miejscu spoczynku małżonki. Będzie tam źródło, z którego masz się napić”. Po tych słowach odleciał. Po dwóch latach bardzo stary już chłop wykopał dziurę, jak nakazał mu ptak. Gdy wypił wodę ze źródła, stała się rzecz niezwykła. Wyzdrowiał i stał się młody, a po chwili jego tak samo młoda żona, odwiedziła go. Nie posiadali się ze szczęścia. Źródło to nazwali solanką, której nazwa jest przez słone łyzy mężczyzny, które płynęły po jego twarzy, gdy rozpaczał nad śmiercią żony. Po czasie nazwali ją „Zabłocką” na cześć wsi. Źródło to płynie tam po dzisiejszy dzień. Jest używane leczniczo przez mieszkańców tej wsi oraz Chybia, Strumienia i nie tylko.



Tytuł: „**Cebula czarownic**” – 2017 r. III miejsce w kategorii - Grupa Młodsza

Autor: **Amelia Szuścik**

Szkoła Podstawowa w Zebrzydowicach

Opiekun: Jadwiga Nowakowska

W hańdownych czasach, kie ludzie ni mieli mocka lekarstw, a o antybiotykach eszcze nie wiedzieli, to wszelijaki choróbska lyczli ziołami. Robili ś nich napary, mazidla, okłady i tak sie lyczli. Czasym skutecznie, a czasym bezskutecznie.

W takich czasach, na ul. Zamkowej miyszkała razym z mamóm, tatóm, bratym i siostróm Marysia. Dziołuszka rada chodziła nad Olze, kaj puszczała wionuszki na wode i posłuchała jak wiaterek cichutko szepto roztomajte plotki z za rzyki. Jednego razu Marysina mama roznimógła sie na funsok i okropnie ciyrpiała. Roztomajte mazidla nie pómogały, ani też czary mary cieszyńskich czarownic funsoka nie przegnały. Marysia skuli tego była łokropnie markotno. Poszła nad Olze i z tej nimocy łokropnie płakała. Jeji łezki wpadowały prosto w wartki nurt rzyki. Naroz dziołuszka usłyszala okropne pluskani, a woda jakby zawrzała. Nim Marysia obetrziła łoczka, ani sie nie nazdała a kole nij, na kamiyniu siedzioł jakisikej dziwny chłop. Pyszczysko mioł podobne do żaby, czornóm weste i czyrwióne galotki . Na czerepie mioł strzechocz łozdobióny odymkóm. Marysia se wartko wszymła, że isto to je utopiec. Chłopek siedzioł spokojnie i z zaciekawiyniym prziglóndoł się dziołuszce, a przy tym pykoł se fajeczke. Po chwili odezwoł sie do dziewczycia:

-Witej Marysiu, cóż tukej tak łokropnie beczysz?

-A skónd to Panoczek zno moi miano?

-Widzisz dziołuszko, bo jo mocka wiym i mocka poradzym zrobić.

-Ja? To jo je ciekawo czy Panoczek poradzi wylyczyć funsok?Moja mamulka je choro na niego.

-Na wystow se, że móóm cosikej na funsok. Prziđź tu jutro po połedniu,a dóm ci lykarstwo.Yny pamiyntej, coby żodnymu nic nie prawić, bo to je tajemnica. Jak co kómu powiysz to mi za to zapłacisz.

-Obiecuje! Nic nie powiym żodnymu!

Marysia poleciała do chałpy. Nastympnego dnia po połedniu prziszła zaś nad Olze, kaj czakoł už na nióm utopiec. Doł ji w gornuszku mazidło i kozoł, coby mamulce nim mazała plecy. Obiecoł, że po tym mazidle wartko funsok sie straci, ale eszcze roz przikozoł dziołuszce coby żodnymu nic nie prawiła. Mazidło smerdziało kiszónóm kapustóm, ale

mamulka Marysi wartko zdrowiała. Dziołszka zaś wszystkim opowiadała o utopcu i mazidle, tuż ludziska jóm też pytali coby im takigo mazidla od utopca prziniesła. Młodo cieszynioczka prziszła zaś nad Olze i pytała utopca, coby doł ji tego mazidla dlo pszocieli. Tyn jednak łokropnie sie zdenerwował, że nie dotrzymała słowa i wszystkim poopowiadała o nim, i tak ji prawil:

- Tymu żeś mie nie posłuchała i nie dotrzymałaś słowa, musisz se sama po to mazidło zónść. Jo teraz musimy sie wykludzić przez ciebie, bo ludzie mi tu už żyć nie dajóm. Pójdiesz do Markłowioka i tam na polance je chałpka. Miyszko tam starowinka kiero, jak jóm popytosz, narobi ci tego mazidla z cebuli czarowic. Jak ci sie udo jóm nachleđać, to se bydziesz mógła mazidla zrobić dlo wszystkich. Yny pamiyntej, że bydym cie musioł pokorać za nieposłuszyństwo, ale żeś ludziom chciała pomóc, to ta kara nie bydzie tako straszno.

Marysia posłuchała utopca i wartko poszła do Markłowioka. O koraniu ani nie myślała. Chodziła po lesie i nie poradziła nónść tej polanki. Robiło sie cima, a dziołcha płakała i błóndziła po lesie. Jeji łezki spadowały na zymie, a co spadła jedna łza, to pokazywoł sie jedyn, mały, biały kwiotuszek. Kie sie zdało, że isto už nie trefi ani do chałpy do Cieszyna, naroz z potoka wyloz utopiec. Tak sie odezwoł do Marysi:

- Prziszeł czas na kore dziołszko. Jo móm szfarnego syna kiery chledo zóny. Esi pójdiesz za niego, to zrobiym, że z każdego biołego kwiotuszka kiery wyrosnył podloty twoimi łezkami, wyrośnie cebula czarownic i koždy se bydzie móg jóm urwać i lyczyc sie nióm. Dycki musisz wiedzieć, że warunek je taki, że už do ojców nie wrócisz. Zostaniesz utopculóm w naszym plisie.

Dziołcha szczerze zapłakała, ale se wszymła, że z jejigo nieszczyńscia mocka ludzi bydzie zdrowych. Skuli tego zóstała utopculóm. W Cieszynie sluch sie stracił po Marysi. Czasym yny, bezmała gdosi jóm uwidzi eszcze nad Olzóm, kaj siedzi smutno z wionuszkim z biołych kwiatusków na głowie. Nikierzi prawióm, że dycki czuć wtedy wón cebuli czarownic, czy kiszónej kapusty. A kie przidzichodzi wiosna w całym Markłowioku wónio tak samo czosnek niedźwiedzi kierym do dzisia lyczóm sie ludzie, bo to co je naturalne je dycki nojlepsze.



Tytuł: „**Baśń o cudownej mocy królowej Cieszynianki**” – 2017 r. I MIEJSCE w kategorii – Grupa Starsza

Autor: **Patrycja Hanzel**

Zespół Szkół w Kaczycach

Opiekun: Mirela Sikora

Mama, jak co dzień, wróciła z pracy o 16.00. Położyła na stole ciężką torbę z zakupami, robiąc jej miejsce wśród kubków, talerzy, okruchów jeszcze ze śniadania i pustej paczki po chipsach. Nagle usłyszała odgłos trzaskających drzwi, zza których wyłoniła się wysmukła postać. Jej posępna i ponura mina zdradzała wszystko.

- Cześć, synku, zaraz przygotuję obiad – oznajmiła mama.

Jaś pobiegł po schodach do swojego pokoju. Pytanie „Co tam w szkole”, które właśnie w takich chwilach się zadaje, nie byłoby chyba na miejscu – pomyślała strapiona mama, która w pamięci miała niedawną rozmowę w szkole. Nieodrabiane zadania domowe, problemy z koncentracją uwagi, agresywne zachowanie... Słowa wychowawczyni ciągle

dźwięczały w jej głowie. Trzask drzwiczek od szafy oznaczał, że „szkolne” ubrania lądują w półce.

-A co dziś jemy? – krzyknął donośnie ze swojego pokoju, żując coś jednocześnie.

-Kurczaka z ryżem i warzywami oraz zupę pomidorową

-Nie...-dał się słyszeć zawiedziony głos. Wśród codziennej krzątaniny po kuchni, stuku naczyń, szumu wody nagle dał się słyszeć przeszywający głowę mamy na wskroś dźwięk, tak charakterystyczny, że aż nie do zniesienia – dźwięk włączonego komputera. „Znowu to samo” – pomyślała mama i drżącymi rękami położyła na stole zupę.

Gdy wieczorem Jasiu kładł się spać, wyciągnął spod poduszki papierki po ulubionych gumach do żucia i czekoladzie, którą dostał od kolegi z klasy i nasłuchiwał, czy nie nadchodzą rodzice, aby powiedzieć mu dobranoc. Czas się dłużył, więc Jasio lekko uchylił drzwi, zza których dochodził odgłos rozmowy rodziców i cichy szloch mamy. „Chyba coś się stało” – pomyślał i szybko wskoczył do łóżka. Jakaż to była okazja, aby jeszcze przed snem zagrać w ulubioną grę, tym razem na komórce, bo łatwo ją schować gdyby... Nagle usłyszał zbliżające się kroki rodziców, szybko wyłączył telefon, papierki wylądowały z powrotem w schowku pod poduszką. Do pokoju weszli rodzice. Mama ucałowała syna w czoło, jak co wieczór, a twarz ojca zdradzała smutek i niepokój. Jasiu nie mógł zasnąć i bynajmniej nie dlatego, że właśnie przypomniał sobie o nieodrobionym zadaniu domowym i jutrzejszej poprawie sprawdzianu. Miał się za to zabrać, gdy skończy ulubioną grę, ale... Kręcił się i wiercił, przewracał z boku na bok i miał przed oczami zatroskanych rodziców. Różne myśli przechodziły mu przez głowę. Starał się myśleć o czymś miłym. Nagle... przed jego oczami ukazał się piękny widok. Stał pośrodku pól, otaczały go gęste, złociste od blasku słońca łąny zbóż. W oddali, hen, hen daleko widać było zarysy górskich szczytów, a ponad nimi pięknie górujące słońce. Wszystko tu było cudowne. Na płatkach żółtych kwiatów chylących się ku radosnym iskierkom słońca wesoło mieniły się krople rannej rosy. Jasiu od razu poznał to miejsce. Widok ten był mu doskonale znany. To przecież jego rodzinne strony, miejsca codziennych zabaw, znajome dróżki, szlaki. W żółtych kwiatkach rozpoznał cieszynianki rosnące niedaleko jego domu, które, o dziwo, patrzyły mu prosto w oczy, przeszywając jego duszę na wskroś i zaglądając jakby w sumienie. Czuł się dziwnie. Coś dręczyło go w środku, gniołło, czuł „ciężar” myśli, przez głowę przelatywały dziwne obrazy, niewyraźne, jakby rozmazane, ale dało się rozpoznać twarze. Tak! To przecież mama płacząca przy łóżku, a tu smutny Marek, kolega z ławki, z którym razem zbudowali szałas w lesie, już zniszczony przez „superbohatera” Jasia... I jeszcze... zeszyty, całe mnóstwo zeszytów... Tak, poznał je! Kto ostatnio zawałił kartkówki i zapomniał, że istnieją zadania domowe? I te kwiaty! Ciągłe wpatrujące się oblicze Jasia, jakby chciały zajrzeć w samą duszę. Nagle podmuch górskiego wiatru pchnął go w głąb tej cudownej krainy, w której się znalazł. Zrobił krok i wydarzyło się coś niewiarygodnego. Uniósł się ponad gęstwiny boru i szybował niczym ptak. Dostrzegłszy na brzegu Olzy niewielki zamek, podleciał do niego...Znalazł się w wielkim przedpokoju ozdobionym różnymi ziołami i roślinami. Nagle, z drugiego pomieszczenia dał się słyszeć kobiecy głos. Chłopiec przeszedł kawałek i znalazł się we wspaniałej komnacie zupełnie różnej od poprzedniej. Była cała złota, mieniła się w świetle słonecznym wpadającym do środka przez duże, drewniane okno. Jego oczom ukazała się piękna dama o alabastrowej cerze i białych jak śnieg włosach. Przed nią stali pokornie dwaj młodzieńcy - nadworni służący. Pani karciała ich, a ci ze spuszczonej głowami wpatrywali się - to w podłogę, to w opakowania po słodkościach, które leżały niedaleko nich. Ale chwileczkę... Jaś skądś kojarzył tych młodzieńców! Podszedł bliżej, aby się im przyjrzeć. Przecież to Jacek i Marek, koledzy ze szkoły! Chłopiec naprawdę się zdziwił, ale to, co zobaczył w następnej sali, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Otworzył drzwi i znalazł się w ogromnym

pomieszczeniu pełnym dzieci. Wszędzie panowała cisza, tylko co jakiś czas dało się słyszeć radosne okrzyki: „Tak jest! Udało mi się! Nareszcie zrobiłem to dobrze...”. Jaś zastanawiał się, co sprawia im tyle radości? Podeszedł bliżej i okazało się, że... odrabiają zadania domowe! Chłopiec oniemiał z wrażenia, ale dochodzący do niego zapach z komnaty obok nie pozwolił mu się skupić. Opuścił pomieszczenie, podążając tam, skąd dochodziła magiczna woń. Otworzył drzwi, a jego oczom ukazał się niesamowity widok - rodzina elfów wspólnie pracowała przy przygotowywaniu posiłków. Wykonywała rozmaite potrawy. Zaczynając od pierogów z nadzieniem szpinakowym, których zresztą Jaś nienawidził, przez sałatki, po różne dania, których nawet nie znał. Podeszedł bliżej do dzbana wypełnionego po brzegi przejrzystym płynem. Była to źródłana woda z pobliskiej góry Czantorii. Przechadzał się po kuchni, nie wierząc własnym oczom. Podczas, gdy jedne elfy spędzały czas w kuchni, inne roznosiły dania na salę, gdzie odbywała się uczta. Stoły ugięły się pod ciężarem mis z owocami. Wszędzie panował gwar. Wszyscy byli w świetnych humorach. Poddani zajadali się potrawami przygotowanymi na przyjęcie. Małe dzieci biegały od stołu do stołu, chętnie sięgając po rozmaite, warzywne przekąski. W mgnieniu oka półmiski, tace i talerze były puste. Jasiu z niedowierzaniem patrzył na ten niecodzienny widok, nie mógł uwierzyć, jak to możliwe. Kiedy na salę weszła królowa, wszyscy poddani umilkli. Słychać było tylko szepty: „To ona, nasza dobra królowa, królowa Cieszynianka. To ona leczy nasze dusze...”. Wtedy chłopiec zrozumiał, dlaczego się tu znalazł i poczuł cudowną moc królowej i jej „kwitnących służących”. Po przemowie udali się do królewskiego ogrodu, w którym unosił się aromatyczny zapach. Pracowite elfy i tutaj nie próżnowały. Z rosnących przy parkanie roślin przyrządzały różne napary. Chłopiec od razu rozpoznał żółty podbiał. To z jego liści mama robiła mu wywar, aby wzmocnić organizm, gdy miał silny kaszel. W powietrzu unosił się zapach rumianku, mięty, a nawet pokrzywy. Poddani lubili spędzać czas na świeżym powietrzu ze swoją panią. Była bardzo dobra i wyrozumiała. Niejednokrotnie, przechadzając się polnymi drózkami, mijała dzieci biegające po łąkach i bardzo cieszył ją ten widok. Pani kochała swoich poddanych i całe królestwo. Dbała o wszystkich, każdy dostawał codziennie porcję świeżych owoców i warzyw. Podczas biegów organizowanych co roku z okazji święta elfów drużyny reprezentujące jej królestwo zajmowały najdostojniejsze miejsca. Królewskie elfy były bardzo sprawne, a ich pani była z nich dumna. Słońce zaczęło znikać za górskimi szczytami. Jaś wprawiony w cudowny nastrój, wycofując się w otchłań zerkał na tonącą w mroku krainę piękna i dobroci...

Nastał kolejny dzień. Mama wróciła z pracy o tej samej porze co zwykle. Zmęczona usiadła na kuchennym krześle. Widać było, że czymś się martwi. Strapiona spoglądała przez okno. Wtem do domu wbiegł uradowany Jaś, krzycząc od progu: witaj mammo! jak minął ci dzień? rzucił się matce na szyję. Na twarzy mamy pojawił się uśmiech. Ze spokojem ucałowała synka i rzekła:

-cześć, skarbie, w porządku, nic takiego się nie wydarzyło, a jak w szkole? -Wszystko dobrze. Co dziś na obiad? -Ryba z sałatą i ziemniakami, zaraz ci nałożę. -Dobrze, mammo. Jaś pobiegł na górę do swojego pokoju. Po kilku minutach zbiegł po schodach i usiadł przy stole. Z apetytem zjadał przygotowany przez mamę posiłek. Po skończonym obiedzie podziękował i oznajmił, że idzie odrobić pracę domową, a potem wychodzi razem z Markiem, ponieważ umówił się na „odbudowę” szafasu. Zdumieni rodzice zgodzili się na wyjście. Przytuleni patrzyli przez okno jak ich mały, choć już wcale nie taki mały Jaś biegnie z radością w kierunku swojego kolegi, wesoło machając...



Tytuł: „**Jako Maciej łoduczył Łutopca kurzić**” – 2017 r. II MIEJSCE w kategorii – Grupa Starsza

Autor: **Karolina Gawłowska**

II Liceum Ogólnokształcące w Cieszynie

Opiekun: Anna Waszut, Izabela Żwak

Downo tymu jako starka godali, mjyszkoł se w Olzie kole Cieszyna łutopiec. Wjycie, to je taki mały chłapieczek, co furt siedzi w wodzie. Mo dycki oblyczone czyrwone portki, jakomsi guńke, a kłobuk na strzapatym czerepie. Czasym siedzi na kraju rzyki, moczo se obłunione szłapy we wodzie a kurzi fajke. Je to taki złośliwe stworzyni, że jak mu się cosik uwidzi a spotko kogo jak idzie przez most, tak łaps go, a topi, aż nieborok skono. Ale byli też tacy, kierych miół rod, ci mógli siednąć se razem z nim i pogodać o starych Polokach.

Jużech godała, że tyn łutopiec przeogromnie lubił kurzić fajke. Tak ludzie czynsto widzieli jak nad Olzóm je aż bioło od dymu, co go tyn chłapieczek wypuszczoł. Łokropicznie smoliło to starego Macieja i jego babe, kierzy mjyszkałi kole samego brzygu. A trzeba wóm wiedzieć, że gospodarz miół rod łutopca i szło mu o jego zdrowi. Tak kieregosi dnia chłop nie zdzierzoł i tak godo:

- Zaroz nad rzyke lecieć musimy i tego gizona stąd wykurzym, poli i smrodzi od wieczora, chyba už skończyć najwyższo pora. Dziwej się yno na to pyszczysko, dyć zaroz biołe bydzie tu wszysko. Jo zech se myśłoł, że to z kumina, a to łutopiec sie zapómino. - Porwoł gospodarz mycke, a poszoł nad rzyke kaj siedziół łutopiec. Wiedziół, że łutopieczek mo go rod, tak się go nie boł.

- Tyś się zapomniół? Dyć ryby potrujesz, a swoji pluca ganc se popsujesz!

- Co mi tu godosz, dyć to nie szkodzi, a ganc na zdrowi mi to wychodzi! – Łutopiec, obrócił się zadkiem do Macieja i udowoł, że go nie słyszy. Naroz zaczon kuckać, a to tak fest, jakby gdo bromblowoł po starym garcu, aż mu echo w lesie łodpowiadało. Chłop siodł kole niego i godo:

- Na pięknie krzypisz mój łutopieczku! Tuż wyciep to świństwo, mały chłapieczku, posłuchej rady mondrego chłopca, a zaroz minie ci ta suchota!

- Dyć jo mom rod to kurzyni, ty też wyciągej fajke z kieszyni i pykej sy mnóm chłopie złoty, co mosz inkszego do roboty?

Nie spodobało się to Maciejowi, tak postanowił pokozac łutopcowi, że kurzyni faktycznie mu szkodzi. Tak mu prawi:

- Na godosz, że fajka siły podwojo i tako lepszo kondycja twojo? Tak zaroz krzepym naszą sprawdzimy, warunki paktu uzgodnimy. Tak każdy swojóm babe podniesie i bez zmocznia rzykóm przeniesie. Jak swojom żonkę - łutopculę, przeniesiesz i nie upuścisz w ogóle, tak kurz se dali, mjyj to na zdrowi, bo tak przystoji łutopcowi. Ale pamjyntej, jak się obalisz, tak zaroz tom fajke wywalisz i czystej wody rybóm dolejesz. Tak to zrobjmy, no, z czego się śmiejesz?

- Dyć to je proste - zarechotoł łutopiec - tak robić szkoda, to je darymno moja robota. Moja, je mało, jako ropuszka, ni mo ci nawet małego brzuszka, to je naprowde za proste zadani, alech wymyślił rozwiązani! Zrobjmy zamiane. -Ty mi przeniesiesz moi babisko, ale uważej, bo ona je ślisko, a jo na pukiel twojóm babe. Jee ale te bydom rade, że se na chłopach

pojeździć mogóm, a przejdą przez rzyke suchóm nogóm. A potym... - łutopiec zaś zaczon kuckać.

- Tak dobre, stoi umowa, oduczym cie kurzić, już moja w tym głowa! - powiedział Maciej.

- Na dyc, taki mi dajesz proste zadani, tak dobre, jo przystnym na ni, jak mi obiecosh, że jak jo wygrom to mje zostawisz, a tu mi most nowy postawisz. – Łutopiec, aż zatarł swoi żabi łapki, bo cieszył się, że bydzie mógl pokozac chłopu jaki to je silny, poza tym, most już od downa mjoł zgnile deski i trzeba go było naprawić, tak był zadowolony, że gdosi zrobi to za niego.

- Toć dobre, niech tak ci bydzie, nurkuj po babe, moja też przydzie. - Uścisnyli se rynce, łutopiec doł nura do wody, a Maciej poszoł do chałpy po swojóm Zuzke.

O dwanostej w samo połedni, jak słońce śwjyci najmocnijj, przyszli wszyscy na umówione mjyjsce. Jak łutopiec zobaczył Maciejowóm, to mu jakosi przeszła ochota do śmjychu, a przed łoczami zatańcowały taki czorne plamki, bo trzeba wom wiedzieć, że Maciejowa to była gryfno baba, z takich co to majom czym dychać i na czym siedzieć. Wożyła isto ze sto dwacet kilo i przy malutki łutopculi wyglónała jak tako kónkretno maszyna. No nic, teros už było za nieskoro, żeby cofnónć umowe, tak łutopiec chcónć nie chcónć pozwolił aż Zuzka siednie mu na pukiel. Maciej jednym ruchym porwoł łutopcowóm żónke i posadził se na karku, tak żeby mogła się go chycić za kudły.

- Tak idymy, poduk umowy: niyś mojóm babe, jo już gotowy – i nie czakajónć aż łutopiec zaprotestuie, chłop podwinył nogawki od galot i wloz do Olzy. Szoł warciutko, bo też nic mu nie ciónżyło. Za nim pomału gramolił się łutopiec z Maciejowóm na puklu. Z poczóntku jako tako mu to szło, ale jak przeszoł pore kroków, zaczoł kuckać i pryskać wodóm na wszystkie stróny. Zaś przeszoł pore kroków, teroz fuczło už jak jyz, potykoł się i toczył. Maciejowa mjała už całe szłapy mokre i tak jóm to nasmolilo, że zdzielila chłapieczka pore razy po pysku, tak, że od razu się spamjyntoł.

- Na cóż tak fuczysz łutopieczku? Dziwej się, jo już je na kopieczku! – zawołoł do niego Maciej stojónć už po drugi strónie. Łutopiec chcioł wartko przelecieć ku niymu, ale był tak sfuczany i zmynczony, że prasnół rziciom do zimnej wody ściepujónć przy tym už fest nasmolonóm Zuzke. Baba wyzubrowała mu jeszcze i cało mokro i nafuczano poszła ku chałpie.

Maciej podeszeł do łutopca, pumógł mu się pozbjyrać, posadził go na brzygu i godo:

- Dyc żeś to prawil, że tytón pumogo, i dodatkowe siły ci wzmogo. Teroz żeś widzioł, że ci poszkodzil i fest kondycje twojóm uszkodzil. Teroz dej fajke i tytón kolego, żeby nie zrobił ci już nic złego.

- Wjyncyj už fajki do gymby nie wsadzym, bo už tak dychać nie poradzym jak kjejsi.

- Od dzisio tylko zdrowe pływani, a zaroz naprawi ci się dychani – Pedzioł Maciej i klepnął łutopca po plecach tak fest, że tyn aż się zakuckoł.

- Chyba mosz recht chłopieczku złoty, tak zaroz się bierym do roboty. I śwyrzej wody rybóm nalywom, bo nie yno jo tu pływom. - I łutopiec pieknie podziynkowoł chłopu, za to, że pokozoł mu, że polyni fajki wcale ni ma taki zdrowe jak mu się przedtym zdało. A potym popłynół wymjynić rybóm wody, coby w tej smrodlawej od dymu nie pływały. Od tej pory jak łutopiec yny uwidzioł kogosi kto szoł z fajkom, zaroz łapoł go spod mostu a ciongoł do wody, bo smrodu tytóniu ni mógl už zdzierzeć.



Tytuł: „**Magiczne źródelko**” – 2017 r. III MIEJSCE w kategorii – Grupa Starsza

Autor: **Paulina Pachuta**

Zespół Szkół w Kaczycach

Opiekun: Mirela Sikora

Dawno, dawno temu, niedaleko Beskidów, których szczyty było tu widać tylko wtedy, gdy, jak mówili mieszkańcy” zanosilo się na deszcz”, w pięknej wiosce Kończyce Małe żyło sobie małżeństwo. Mieszkali bardzo skromnie, gdyż nie byli zamożni, ale żyli w zgodzie i cieszyli się dobrym zdrowiem. Wszystko, co mieli, zawdzięczali ciężkiej pracy. Każdy, kto odwiedzał ubogich gospodarzy, wchodząc do ich domu, nie mógł nie dostrzec pięknego ogródka i schylonej w nim żony, która starannie pielęgnowała zasadzone kwiaty. Czegóż tam nie było? Jak to na wiosnę, swe delikatne główki wystawiły nad ziemię śnieżyczki, którym przyglądały się z radością żółte cieszynianki. Obok swoje miejsce miały pierwiosnki, które sąsiadowały z fioletowymi przylaszczkami. Po drugiej stronie podwórka uwijał się mąż z lekka przysłonięty przez puszczone pierwsze pączki krzaki agrestu i jeżyn. Na świeżo przekopanej ziemi zieleniły się liście sałaty. Najbardziej jednak „rozpanoszył” się szczypiorek, którego wysepki były zdecydowanie najokazalsze. Ale największy skarb znajdował się tuż za chatą. Było to źródelko, z którego tryskała krystalicznie czysta woda. To ją gospodarze codziennie pijali ze smakiem, a w suche dni posilali nią własne plony. A ponieważ bardzo kochali swoją ziemię i byli do niej przywiązani, nazwali wodę kończanką. I wydawać by się mogło, że niczego im do szczęścia nie brakowało. Dokuczało im jednak jedno wielkie zmartwienie – nie mieli dzieci. Pewnego razu ksiązę – właściciel wioski i okolicznych ziem wydał zarządzenie, że obowiązkiem poddanych jest składać daniny w postaci plonów i pracować na polu pana. Ludzie niezadowoleni z rozkazu, zaczęli szemrać między sobą i zastanawiać się, skąd takie surowe nakazy. Okazało się, że córka księcia jest poważnie chora i z zagranicy sprowadzono najlepszych lekarzy, którzy próbowali jej pomóc. Przywieźli najrozmaitsze pastylki, proszki i mikstury, ale nic to nie dało, jedynie tyle, że skarbiec zaczął świecić pustkami, bo zagraniczni lekarze bardzo się cenili. Gdy mąż i żona wraz z innymi poddanymi uprawiali ziemię w polu, od strony zamku dało się słyszeć dziwne dźwięki – jęki i krzyki przerywane odgłosami dudniącego kaszlu. Tak cierpiała księżniczka. Ludzie w polu opowiadali, że podobno jest bardzo blada, chuda, niechętnie rozmawia z innymi i ciągle się nad sobą użala. Nic jej nie cieszy, nawet spełnianie zachcianek i kaprysów też ją znudziło.

Kiedy nastał kolejny dzień, gospodarz, jak co dzień, wstał skoro świt i poszedł nabrać wody do źródelka za chatą. Gdy nachylił się, by jej zaczerpnąć, usłyszał głos. Źródelko przemówiło do niego:

-Gospodarzu! Gospodarzu! Jesteś dobrym człowiekiem, dbasz o żonę, o ziemię, którą uprawiasz, żyjesz w zgodzie z naturą...Gospodarz na te słowa ze strachu, aż się przeżegnał i padł na kolana. Nie dowierzał temu, co się dzieje, ale głos słyszał dalej.

-Nie dziw się, dobrym ludziom dobro się zwraca, twój los wkrótce się odmieni. Weź pod swój dach córkę księcia i naucz ją żyć wedle swoich zasad, idź i nie zwlekaj... Nagle wszystko ucichło, a mąż zabrał wiaderko z wodą, opowiedział żonie, co mu się przytrafiło i nie zwlekając, poszedł do dworu. Strapiiony ksiązę przyjął gospodarza, a że władca był już bardzo

zdesperowany, zgodził się na jego propozycję. Księżniczka zamieszkała w ubogiej chatce. Gospodarze z pokorą znosili jej drwiny i śmiech, gdy stanęli w progu domu. Księżniczce nic się nie podobało i nic nie smakowało, ale wiedziała też, że jeśli nie wykona poleceń gospodarzy, nie wróci do swoich luksusowych komnat. Każdego ranka wspólnie z gospodynią przygotowywały śniadanie. Dziewczyna musiała wstawać wcześniej niż zwykle, bo w zamku wysypiała się prawie do południa i drugą część dnia czuła się ciągle senna i słaba. Chodziła do ogródka, by pozbiierać to, na co miała ochotę. Na pajdach upieczonego wieczorem chleba z ciemnej mąki kładła to sałatę przyozdobioną czerwonymi rzodkiewkami, to znowu biały twarożek posypany zielonym szczypiorkiem. W południe przed obiadem towarzyszyła gospodarzowi, gdy w pobliskiej Piotrówce łowił ryby. Pomagała nosić mu sprzęt, a gdy siedzieli nad wodą, to tak się rozgadывała, że codziennie spóźniali się do domu. Do obiadu księżniczka sama sporządzała pyszne kompoty z agrestu lub jeżyn rosnących w ogródku. Po południu, gdy gospodarze udawali się do pracy we dworze, chodziła do pobliskiego lasu zbierać maliny, z których potem razem z gospodynią robiły soki. Dziewczyna miała także obowiązek zająć się całym gospodarstwem. Z radością podlewała ogródek, pielęgnowała grządki, robiła nawet pranie. Cieszył ją widok coraz to nowych roślin, które wyrastały w ogródku. Czuła się silna, nabrała kolorów, bo spędzała dużo czasu na świeżym powietrzu, a gospodyni podawała jej do picia sok z buraczków. Gdy po ciężkiej pracy właściciele wracali do domu, częstowała ich tym, co sama przygotowała. Ileż to było opowieści! O pieczeniu chleba, do którego dodała ziarna słonecznika suszonego pod oknem chatki, o konfiturach z leśnych malin i herbatce pokrzywowej.

Na samą myśl o niej trochę się skrzywiła. I tak mijał dzień za dniem. Gospodarze uznali, że czas, aby księżniczka wróciła do zamku. Dziewczyna podziękowała swym opiekunom i szczęśliwa, pełna życia wróciła do ojca. Nazajutrz, gdy jeszcze promyki słońca nie zdążyły wychylić się zza widnokregu, a ptaki stroiły swoje głosy, gospodarz wstał z łóżka i usłyszał odgłosy księżących trąb. Pan wydał ogłoszenie znoszące składanie danin i pracę we dworze. Jakież było zdziwienie chłopca, gdy przed chatą ukazał się orszak księżący.

-Szlachetni gospodarze, przyjechałem wam podziękować za to, że wróciliście mi córkę. Widzę na jej twarzy uśmiech, widzę ją zdrową i radosną, to wasza zasługa – powiedział uradowany książę.

-To także wielka radość dla nas, że w tym małym księżącym sercu na nowo obudziło się życie, bo ono jest największym skarbem – odpowiedział wzruszony gospodarz. Gdy powrócił do chatki i swej żony, zastał ją zalaną łzami i tańczącą po drewnianej podłodze.

-Mężu! Będziemy mieli dziecko! -wykrzyknęła kobieta.

Przepowiednia źródła spełniła się. Szczęśliwi małżonkowie wzięli się za rękę i poszli do źródła. Wpatrzeni w zachodzące słońce, mocno przytulali się do siebie.

Pamiętajcie, że dobro i szczęście jest tam, gdzie jest radość z życia i szacunek do niego, bo życie jest największym skarbem.